

# ROZMAITOŚCI.

Dnia 16. Lipca.

N<sup>o</sup> 29.

Roku 1856.

## POWIEŚĆ O BŁĘDNYM RYCERZU POLSKIM.

(Dokończenie.)

Jak rycerz polski Jarosław i Jan de Saintré  
potykali się w pieszych zapasach.

### Rozdział 51.

Nadszedł wreszcie dzień przeznaczony do pieszych zapasów na kopie, kordy i berdysze. Król, królowa, rycerze i damy, zajęli zwyczajne miejsca na balkonach, wyglądając niecierpliwie przybycia zapaśników i rozpoczęcia turnieju. Pan Jarosław nadesłał królowi dwie czerwono pomalowane, żelazem okute kopie, jednakiego kształtu i równej miary, opatrzone dużemi żelaznemi jelicami, chroniącemi rękę od cięcia. Nadesłał także dwa podobniuteńkie do siebie topory czyli berdysze, i dwa kordy i dwie szpady, podobnież niczem a niczem nie różniące się zgoła. Przyniesli je panowie Dobiesław i Spytko z prośbą, aby król jegomość raczył przekonać się, iż tak kopie i berdysze, jakoteż kordy i szpady, zadnych w sobie nie ukrywają fortelów; tudzież aby raczył z nich wybrać te, które poczta za najdogodniejsze Saintremu. Król przychylił się do prośby panów Polaków, uczynił wybór w przyniesionej mu broni, i odesławszy jedną połowę Saintremu, zwrócił drugą polskim rycerzom. Niebawem też ukazał się sam Jarosław, ubrany podobnie jak przed rozpoczęciem zapasów konnych, w pełnej zbroi lecz bez hełmu i bez przyłbicy. Orszak jego był dziś o wiele jeszcze świetniejszy niż podówczas. Na samem czele jechali hrabiowie de Nevers, de Bouloigne, de Tancarville i de Rethel, z których pierwszy niósł przeznaczoną do walki kopie, drugi berdysz, trzeci kord, czwarty szpadę. Za nimi jechał książę de Berry, niosąc na drzewcu kopii hełm i przyłbicę Jarosława. Tuż za nimi jechał sam Jarosław na dużym rumaku

bojowym, w przepysznym stroju, z dumnym i marsowem wejrzeniem. W tyle widać było wielu innych możnych panów i walecznych rycerzy, jakoteż emę giermków i pachotków. W takim poczie stanął rycerz polski w bramie okola turniejowego, gdzie pożegnał większą część swych towarzyszy, a wjechał w szranki w szczupłym tylko orszaku kilkunastu wybranych giermków i rycerzy. Z rozkazu króla wzniesiono dlań wspaniały pawilon w obrębie szranków, pod którym stanął teraz z całą swoją drużyną. Mało co później nadjechał także nasz Saintré, w niemniej liczny i świetny poczie panów, rycerzy i giermków. Za świadków i towarzyszków walki, niosących różne gatunki broni, któremi miano szermować, służyli mu hrabiowie de Perche, de Clermont, de Saint-Pol i de la Marche; hełm i przyłbicę zaś niósł znowuż dostojny książę d'Anjou. W szrankach zeskoczyli wszyscy z siodeł, i stanęli pod przeznaczonym dla siebie pawilonem, nie ustępującym w niczem owemu, pod którym stał rycerz polski. Była z nim także zgraja pachotków, heroldów, trębaczy i wielu rozmaitych gędźców i grajków, których jednakże z braku czasu nie będą wymieniać poszczególnie. Gdy więc obadwaj przeciwnicy znajdowali się w szrankach, wydał król gorąco upragnione hasło do rozpoczęcia turnieju. Obadwaj zapaśnicy pochwycili cożywo kopie, i stanęli natychmiast w pogotowiu, mierząc się groźnym spojrzeniem. Saintré zakryślił i teraz proporczykiem od kopii znak krzyża świętego w powietrzu, i z okrzykiem: „Na cześć Matki Boskiej i mojej damy!“ uderzył pierwszy na Jarosława, który stał w pogotowiu, nie ruszając się z miejsca. Bo też zaufany w swojej sile, w swoim męstwie i swojej rozlicznymi turniejami wypróbowanej zręczności, tuszył olbrzymi rycerz polski, że odbijając raz młodocianego przeciwnika, obali go potem jednym zamachem potężnego ramięnia. Atoli nie tak zrządziły nieba. Jak to bowiem słusznie wyrzekła księżna, pozwala pan Bóg szermować ręką ludzką, lecz zwycięstwo

sam rozda je po swojej woli i swoim upodobaniu. Lekceważąc tedy pierwsze uderzenie Saintrego, ugodził go Jarosław z niesłychanym impetem w wierzchni krawędź puklerza, a gdy kopia zśliznęła się bez skutku, chciał natychmiast próbować szczęścia w stronie przeciwnej. Wszakże Bóg Najwyższy rozstrzygnął walkę inaczej. Saintré bowiem po pierwszym bezskutecznym razie cofnął kopię do siebie, i tak silnie i zręcznie pchnął rycerza polskiego w rękę przy samem drzewcu, że grot stalowy przeszył nawskroś grubą żelazną rękawicę, i głęboko utkwiał mu w ciele. Nagle poczuł Jarosław że stracił władzę w ręce, nie zdolnej ani przyciągnąć kopię do siebie, ani ją naprzód wysunąć. Saintré zaś spostrzegł swoją kopię tak głęboko uwieczłą w ręce rywala, że mimo wszelkiego usiłowania niepodobna ją było wydobyć. Owoż stali tak obaj przeciwnicy przez chwilę nieruchomie, nie wiedząc co z sobą począć. Nareszcie rzucił pan Jarosław kopię swoją, którą nie mógł już wlaść, a król kazał zaniechać natychmiast dalszych zapasów. Zarazem poleceno obudwom przeciwnikom, aby uchylili przyłbice, a po oswobodzeniu prawej ręki pana Jaroslawa od grotu adwersarza, mieli obaj stanąć niezwłocznie przed obliczem monarchem. Niepodobna tu ani w połowie opisać, jaka rozpacz i wściekłość miotła Jarosławem, gdy po raz wtóry ujrzał się zwyciężonym od młodziana, który już to dla swoich lat niedojrzałych, już to dla drobnej i wątłej budowy ciała, nie mógł dorównać mu ani siłą, ani doświadczeniem wojennem, ani wprawnością ręki. Niepomny zatem srodze dojmującej mu rany, nie bacząc na tryskające z ręki strumienie krwi, rwał się zapamiętale do berdysza, chcąc walczyć dalej, bądź co bądź padnie. Dopiero poczuwszy zupełną bezwładność w ręce, coraz większym wpływem krwi stąbiejącej, poddał się z niemą rozpaczą wyrokowi zawistnych na teraz losów. Wtedy przypadł Saintré pierwszy do niego, a pocieszając go szczeremi i przyjaźnemi słowy, postarał się jak najtroskliwiej, aby mu ranę przemyto i krew zatamowano, poczem cała ręka została gojącami nasmarowana maściami. Jarosław rozczulony tak szlachetnem postępowaniem zwycięzcy, nie mógł zataić mu swojej żywej wdzięczności, tem więcej gdy widział jak był skromnym i od wszelkiej chępliwości dalekim, lubo po dwakroć rzadkie odniósł zwycięztwo. Biorąc go więc po przyjacielsku w ramiona, rzekł doń w języku polskim:

„Saintré mój bracie! Jeśli oręż twój postępować będzie i na dal łąsamajco dziś koleją, tedy z czasem nie znajdziesz na całej kuli ziemskiej rycerza, któryby ci wytrwać zdołał w jakimkolwiek boju rycerskim.“

„Dzięki ci za uprzejme wyrazy, zacny rycerzu,“ — odparł Saintré, gdy mu te słowa na język francuski przełożono. — „Niezewszystkiem atoli zasłużyłem sobie na tak szumną pochwałę; obadwa bowiem zwycięstwa moje zawdzięczam nie tyle własnemu ramieniu i orężowi, ile modłom i pomocy damy serca mego.“

Zaledwie skończył te słowa, zawołano go zaraz przed oblicze monarchy. Stawił się więc cożywo u podnoża balkonu, prowadzony z prawej strony przez księcia d'Anjou, z lewej zaś przez księcia Berry. Lecz tu przerwał tok opowiadania mego, i odkładając opis uroczystości przy doręczaniu umówionych danków do rozdziału następującego, opiszę kilka słowy niezmierną radość, jakiej z powodu walnej wygranej Saintrego oddawały się królowa, księżna, panie i panny przedstawne dworu francuskiego.

Skoro tylko rozstrzygnął się stanowczo los walki, a błogosławieństwo Boże poszczęściło znowu orężowi Saintrego, nie mogły siedzące na balkonie damy utaić wielkiego ztąd wesela, lecz folgowały mu całą duszą, i to klaskały w dłonie, to śmiały się głośno, to ścisnęły się wzajem. Nadobnej zaś księżnie Bercie, przejętej gorącą wdzięcznością ku Matce Boskiej, która tak dobrotliwie wysłuchiwała wszystkie jej modły, i przyjęła jej śluby, wezbrała serce niewysłowionem uczuciem szczęśliwych, zdała od gwaru towarzyszek. Udując więc nagły i dotkliwy ból głowy, rzekła do królowej jejmości:

„Najmilszewsza pani! Dotknięta nagłą niemocą czuję potrzebę usunąć się do moich komnat, i użyć spoczynku chwilowego. Racz więc uwolnić mię na dziś od służby przy twojej najdosłojniejszej osobie.“

„Rób jak ci się podoba, moja piękna Berto!“ — odparła królowa. — „Ubolewam szczerze nad twoją nagłą słabością!“

Pospieszyla więc Berta rączemi krokami do swoich komnat, a upadłszy na kolana przed wizerunkiem Najświętszej Panny, modliła się długo i gorąco, dziękując za dwukrotne błogosławienie orężowi kochanka. Po skończonej modlitwie wróciła na balkon królowej, udając zupełnie już uzdrowioną. Ujrzał ją tam niebawem Saintré, jak z wesotym uśmie-

chem na ustach, w żywej rozmowie z kilkoma innymi niemniej wesołymi damami, spoglądała na plac turnieju. Radość jego była bez granic; mniemał bowiem, iż nagle i gwałtowna słabość zmusiła ją znowuż do oddalenia się z balkonu. Lecz muszę zaprzestać już o Bercie i jej miłości, a opowień natomiast w jaki sposób wręczano dank zwycięzcy.

**Jak król jegomość nakazał doręczyć Saintremu danki umówione.**

### Rozdział 52.

Mając w ręku swoim zakłady obudwu zapasników, razem ośm drogocennych klejnotów, chciał teraz król jegomość rozrządzić niemi jak słuszność przykazywała. Wydał tedy najpierwej zlecenie heroldowi, aby w imieniu królewskim nakazał wszystkim obecnym uciszyć się. Potem przywołał wielkiego mistrza heroldyi, pana Montjoye, i kazał mu odczytać się w następujące słowa:

„Cny rycerzu Jarosławie, i ty Janie de Saintre! Król jegomość, tu oto obecny pan nasz najmiłościwszy, zleca i nakazuje mi oświadczyć wam obudwom w jego imieniu, że w dzisiejszych zapasach potykaliście się z równym męstwem i równą walecznością. Ponieważ zaś ty szlachetny rycerzu Jarosławie nie czujesz się w siłach kończyć dalsze zapasy, przetoż król jegomość jako najwyższy sędzia w tej sprawie, nakazuje ci złożyć wszystkie cztery umówione danki w ręce Saintrego. Jakoż z nakazu, zlecenia i upoważnienia króla jegomości zwracam ci je tu w obecności wszystkich przytomnych.“

Gdy Montjoye zaniknął swoją przemowę, zazała pan Jarosław aby mu ją przetłumaczono na język polski. Którą wyrozumiawszy za pośrednictwem tłumaczy, podobnie jak i wyrok królewski, ukląkł zaraz na obadwa kolana, i żałac się gorzko na swoją niefortunność w konnych i pieszych walkach, podziękował królowi z należytą uniżonością. Potem oświadczył, że gdy tak srogi los padł jego orężowi, gotów jest chętnie doręczyć dank Saintremu, jak to król jegomość nakazuje, i jak jego własny honor wymaga. Po tych słowach odebrał z rąk pana Montjoye swoje cztery klejnoty, i zbliżył się ku Saintremu, aby je złożyć w jego ręce. Tu atoli tak wielkie wzruszenie ogarnęło rycerza, że głos zamarł mu w piersi, a słowa nie mogły przemknąć przez usta. Towarzyszący mu panowie i rycerze polscy zrozumieli jego głębokie żmartwienie, i starali się pocieszyć go

i uspokoić wszelkimi sposobami. Saintre zaś zbliżając w towarzystwie księcia d'Anjou dla odebrania danków, rzekł doń z przyzwoitym ukłonem:

„Dziękuję ci, cny rycerzu, z całego serca za zaszczyt, który wyświadczasz mi w tej chwili.“

Po tych słowach kazał król obudwom zapasnikom powrócić pod swoje pawilony, i udawszy się ztamtąd konno do domu, złożył z siebie ciężki rynsztunek turniejowy. Wtedy Saintre idąc za rozkazem monarszym, dośiadł pierwszy rumaka, a książę d'Anjou przybliżył się doń uprzejmie, i rzekł:

„Zasłużyłeś sobie mój waleczny Saintre, abyśmy cię z honorami odprowadzili do domu.“

I wraz z Jarosławem, który tymczasem wsiadł także na koń, tudzież z księciem Berry, który się w drodze przyłączył do nich, jakoteż z wielu innymi panami i rycerzami francuskimi, odprowadził dostojny książę walecznego młodzieńca aż do mieszkania w mieście. Tu atoli muszę chcąc nie chcąc pominąć milczeniem resztę wyrządzanych mu jeszcze zaszczytów, a przystąpię do opisanja uczy, która się wkrótce odbyła na pokojach królewskich. Tyle jedynie dodam na zakończenie, że dzisiejszem zwycięstwem młodocianego Saintrego radowali się nie tylko król i królowa, damy i panny, rycerze i giermkowie, słowem nie tylko dwór królewski, lecz wszystka ludność Paryża, tak iż w całym mieście nie było domku jednego, gdzieby imienia zwycięzcy nie wspomiano z najwyższem uwielbieniem.

**Jak pan Jarosław zaproszony był na ucztę do stołu królewskiego.**

### Rozdział 53.

Gdy królestwo powrócili do swojego pałacu *de St. Pol*, zaważwał monarcha jejmość królowę, aby zaprosiła pana Jarosława wraz z całym orszakiem polskim na ucztę dworską, nie zapominając przytem i o jego zwycięzcy. Udał się tedy w oznaczonej godzinie Saintre z licznym poczem po Jarosława i całą drużynę polską, i wprowadził ją w progi pałacu królewskiego. A skoro wszyscy stanęli przed królową, wzięta królowa pana Jarosława za rękę, i kazała mu usiąść po swojej prawej stronie. Zwróciwszy się zaś do Saintrego, ozwała się łaskawie:

„Dzień dzisiejszy jest dniem świątecznym dla ciebie; należy się więc, abyś usiadł po mojej lewej ręce.“

Daremnie skromny Saintré wymawiał się wszelkimi siłami od podobnego zaszczytu; musiał w końcu usłuchać rozkazu, i usiadł.

Co widząc uradowała się niezmiernie księżna Berta tak wielkim zaszczytem swojego kochanka, i przemówiła nieśmiało:

„Od dnia do dnia przybywa ci honorów, mości Saintré!“

„Widziałas sama, nadobna księżno!“ — odparł Saintré — „żem się nie czuł godnym tak wysokiego miejsca. Musiałem przecież usłuchać rozkazu naszej Najmiłościwszej Pani. Cokolwiek zresztą spotka mię zaszczytnego na świecie, albo podarzy mi się dokonać w oczach ludzkich; zawsze winien to będę raczej szczególniej łasce Boga, niżeli własnej zasłudze.“

Podeczas tej rozmowy kazała królowa przywołać pana Jaranda, który sam jeden z całego orszaku polskiego mówił językiem francuskim, i pozwoliła mu usiąść naprzeciw siebie, aby służył jej za tłumacza w rozmowach z panem Jarosławem.

Reszta panów i rycerzy polskich zajęli miejsca pomiędzy paniami i paniami dworskimi, które przez cały czas uczyły okazywały im jaknajwiększą uprzejmość. Nie widząc potrzeby opisywać wszystkich specyałów, osobliwie win przewybornych, któremi raczono gości królewskich; boć to rzecz tak łatwa do zrozumienia, iż nie spodziewam się, aby ktokolwiek mógł wątpić o niej. Idę więc dalej w mojem opowiadaniu, i nadmienię pokrótce, że pod koniec uczyły zabrzmiała naraz szumna muzyka, a król wraz z braćmi i bratankami udał się natychmiast do wielkiej sali obocznej. Za nim udała się także królowa z paniami i resztą gości, i zaczęły się wkrótce spiewy i tańce, krajowe i zagraniczne, przeplatane różnemi zabawami i krotofilmi. Dla bolesnej jednakże rany pana Jarosława, kazał król przyspieszyć spełnienie puharów pożegnawczych, i ustąpił do swoich komnat. Wtedy Saintré wraz z wielu innymi panami i rycerzami odprowadził polskich gości do ich mieszkania w mieście, a rozstając się z nimi, zaprosił wszystkich na ucztę w dniu jutrzejszym do siebie. Mamże wam teraz opisywać ten bankiet? rozwozić się nad wystawnością przyrządów? Dość powiedzieć, że byli tam oprócz Polaków najpierwsi panowie, panie i panny dworu, najcenniejsi rycerze, urzędnicy i giermki, a bawiono się tańcami, spiewami, jakoteż tysiącem innych krotofil i igraszek. Panowała zaś taka obfitość potraw, tak wielki dobór win, taki we wszystkim ład i porządek, że nikt z przytomnych nie zapamiętał podobnej uczyły,

chyba w komnatach monarszych lub u książąt królewskiej krwi. Lecz i tu wymagała przyzwyczajenie mieć wzgląd na ranę pana Jarosława, i nie przydłużać uczyły nad zmrok wieczorny. Rychło więc zakończono zabawy, i pożegnano się najserdeczniej.

Piątego zaś dnia po opisanej tu uczcie, umyślił pan Jarosław wyprawić także suty traktament, na sposób polski i według zwyczajów swojej ojczyzny, zwłaszcza że odniesiona w turnieju rana nie dojmowała już tak boleśnie. Teraz dopiero miałbym co opowiadać, gdyby mi stało czasu do wyszczególnienia wszystkich osobliwości tej uczyły. Bo jakież tam były wina! jakie smaczne, a dziwnie przyrządzone potrawy! jakie towarzystwo dobrane! jaka wreszcie wesołość w zgromadzeniu! Po skończonej uczcie nie obeszło się także bez tańców, spiewów i bez rozlicznych krotofil, przyjemnych a niewinnych. Na pożegnanie przystąpiono jeszcze raz do rzesisto zastawionego stołu, i nuż częstować i raczyć się na nowo, dopóki stało chęci do picia, i sił do jedzenia. W domiar gościnności wstał pan Jarosław pod koniec uczyły od stołu, i wzięwszy tacę pełną brylantów i rubinów, zaczął roznosić ją dokoła stołu, od jednej damy do drugiej, a każda musiała przyjąć jeden brylant albo rubin w podarunku. Poczem wszyscy serdecznie się pożegnali. Żegnajmyż więc i my do przyszłego rozdziału.

**Jak rycerz polski żegnał się z dworem królewskim.**

## **Rozdział 54.**

Na drugi dzień stanął pan Jarosław z całym swoim hufem przed pałacem królewskim, aby na pożegnanie oddać winny hołd królowi, królowej, tudzież wszystkim księżętom i księżnom krwi królewskiej. Postanowił bowiem odjechać już nazajutrz do Ś. Jakóba w Kompostelli, i nie omieszkał w tym celu jeszcze tegożsamego wieczora zapłacić wszystko, co tylko winien był w swojej gospodzie. Nazajutrz zaś z pierwszym braskiem poranku nadesłał mu król jegomość delię karmazynową, całą z aksamitu najprzedniejszego, bramowaną naokoło szkarłatem i świecącą tysiącem kosztownych ozdób. Nadesłał mu także konia z stajen królewskich i cały serwis stołowy, wartości dwudziestu grzywien złota. Każdy zaś z towarzyszących panu Jarosławowi rycerzy polskich otrzymał także aksamitną szatę karmazynową i rumaka z stajen kró-

lewskich; każdy z towarzyszy tych towarzyszków karmazynową szatę z atfasu, a każdy z giermków kubrak atfasowy takiejżesamej barwy. Nie zapomniał król jegomość w swojej szczodroblowości nawet o heroldzie Lublinie, obdarzonym suknią kosztowną i setka franków na konia. Oprócz tego darowała królowa panu Jarosławowi drugą aksamitną delię karmazynową, z błękitnym szlakiem ze złotogłowa, tudzież prześliczną spinę dyamentową, otoczoną trzema drogocennymi rubinami. Każdy z czterech panów polskich otrzymał od niej błękitną suknię atfasową z złotym haftem, każdy z rycerzów strój atfasowy bez haftu, a każdy z giermków kubrak z gładkiego błękitnego atfasu.

Nawet księżna Berta nie omieszkała uczcić rycerza polskiego upominkiem, i nadesłała mu kosztowny dyament wartości pięciuset franków. Niemniej też hojne i kosztowne podarki ofiarowali mu książęta i księżny krwi królewskiej. Jedni obdarzyli go koźmi z swoich stajen, drudzy szatami z atfasu i złotogłowa, inni serwisami złotymi, inni jeszcze kubkami i puharami bez miary. Widząc tedy panowie i rycerze polscy tak obfite źródło łask i hojności króla, królowej, książąt i księżen, zajęchali jeszcze raz przed wspomniany wyżej pałac monarchy, aby za to wszystko podziękować najuniżeniej, lubo już byli pożegnali się z dworem. Gdy zaś wyjeżdżali z swojej gospody, ofiarował Saintré panu Jarosławowi rumaka z całym rzędem wojennym, nakrytego srebrzystym kropierzem o prześlicznych taśmach aksamitnych, bramowanych dokoła złotem, z rzesistemi frendzlami, na poły z złota, na poły zaś z jedwabiu, co wszystko niewymownie cudny sprawiało widok. W zamian za to darował mu pan Jarosław niemniej pięknego konia z złotogłowym kropierzem, podbitym sobolami, na którym polyskiwał jego herb dawniej już opisany. Potem wsiedli wszyscy rycerze na koń, a Saintré odprowadził ich o całą milę za miasto. Tu wręście przestaną już mówić na zawsze o polskim rycerzu Jarosławie i jego towarzyszach, którzy wszyscy pojechali szczęśliwie do Świętego Jakóba w Kompostelli, nie mogąc nachwalić się hojności i gościnności dworu francuskiego, i opowiadając we wszystkich krajach, że dwór ten jest koroną wspaiałości monarszej i gwiazdą wszelakiego zaszczytu.

## O NAJNOWSZEJ LITERATURZE POLSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

Przechodzimy do nadobnej literatury prozą, mianowicie do literatury powieściowej. Dla tej przeciąg ostatnich kilkunasto miesięcy był rokiem — jak mówią — gospodarskim. Nie przyniósł jej wprawdzie płodów nadzwyczajnej piękności i obfitości, ale też nie okazał się wcale ubogim. Mielibyśmy do ocenienia ze dwudziestu autorów, z pięćdziesiąt tomów powieści, t. j. musielibyśmy napisać obszerny traktat o samem powieściarstwie, gdyby nam chodziło o szczegółowy przegląd całej gałęzi. Nie mając tego na celu, ograniczymy się na wytknięcie niektórych rysów najciekawszych, najnowszych. Pod tym względem uderza przedwzyszkciem pewna okolicość zewnętrzną. Moglibyśmy przewertować wszystkie tomy powieści i powiastek z ostatnich czasów, a nie znać jeszcze utworów najcelniejszych. Bo teraz tom, książka, stały się zjawiskiem drugiego rzędu, a pierwsze miejsce zajął arkuusz, feuilleton, codzienny numer gazety. Wszystkie lepsze powieści przechodzą dziś najpierwej przez młynek feuilletonowy, muszą dać się naprzód pokawałkować w kilkadziesiąt jeśli nie więcej urywków, a powtórzone następnie w osobnej książce, są już rzeczą nie nową, lubo nikt nie zna ich całkowicie. Tracą na tem powieści i czytelnicy. Tamtym ubywa możność zajęcia artystyczną całością swej kompozycyi, której żaden z czytelników po kilku lub kilkunasto-miesięcznym ciągu czytania, po niezbędnem wypuszczeniu kilku albo kilkunastu numerów, nie zdoła nakoniec uprzytomnić sobie dokładnie; ci, odczywszy się cenić w powieści też główną, organiczną zasługę, przyuczają się żądać od niej natomiast dorywczego wdzięku zgrabnych conceptów, „przystępnego“ rozumowania, satyry i t. p. Ale ponieważ już napisano w księdze przeznaczeń, aby nie było żadnej plagi w literaturze zagranicznej, któraby także nie nawidziła naszej, więc i plaga feuilletonów tomowych, zaprzestawszy już trapić dzienniki zagraniczne, musi teraz w naszych grasować pismach. Taż drogą feuilletonową rozeszło się kilka powieści Kaczkowskiego, Kraszewskiego, Korzeniowskiego, które jednakże nie oddrukowane jeszcze w tomach osobnych, nie łatwo znane być mogą. Owszem w piśmie czasowym, acz w tomach miesięcznych wychodzącem, ukazała się powieść niewielka, którą-

byśmy poczytali za główną nowość całego powieściopisarstwa w obecnej chwili. Jestto *Krucwe znamię* p. K. S. Bodzantowicza. Tytuł niniejszy, jak o tem dowiedzieliśmy się z protestacyi w dziennikach, nadała sama redakeya, a nazwisko autora zdaje się być przybranem. Występując po raz pierwszy publicznie, przynosi on literaturze nowy i niepowszedni talent, przynosi daleko więcej namysłu i staranności pisarskiej, niż zwyczajnie poświęcano bywa powieściom, i lubo po dawnych chodzi ścieżkach, wiele przecież świeżych i rozmaitszych kolorów umie nadać dawnym przedmiotom. Drugą nowością jest znaczne rozmożenie się talentu Kraszewskiego. W ostatnich swoich powieściach jak *Diabeł*, *Powieść bez tytułu*, *Chata za wsią*, okazał on prawie niespodziewaną siłę obrazowania, moc i trafność w rysunku charakterów, mężkość natchnienia. Jego młodszy a tak szczęśliwy rywal Kaczkowski opuścił na chwilę epokę Stanisława Augusta, i w swojej *Dziwożonie*, w swoich *Wnuczetach*, jał się „powieści spóczesnej“, nierównie niewatpliwszej próby talentu. Gdy zaś Kraszewski z Kaczkowskim staneli dzisiaj u przodu sceny, ich starsi spółzawodnicy, Rzewuski i Korzeniowski, tamten — nie zrównany dotąd malarz czasów i obyczajów drugiej połowy XVIII wieku, ten — jedyny w swoim rodzaju znawca i malarz serca ludzkiego, albo zupełnie milezą, albo z mniejszem pracują nateżeniem. Od autora *Pamiętek* nie mamy żadnej nowej powieści, a Korzeniowskiego *Stolnikowicz Wołyński* i *Wdowiec*, jakkolwiek w wysokim stopniu zajmujące, należą do lepszych utworów mistrza. Za toż jak obfitu i niespracowanym jest Tripplin! Od czterech lat zawodu autorskiego do czterdziestu tomów powieści! Pomiędzy temi w ostatnich kilkunastu miesiącach: *Pamiętniki lekarza Polaka*, z wypadków za granicą doznanych, spisał dr. Tripplin, 6 tomów; *Lekarz w Szawajcaryi*, tomów 4; *Wycieczki po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów*, 2 tomy; *Nowa podróż naokoło ziemi*, odbyta na fregacie Ermanceya przez dr. Antoniego Zanowicza, opowiedział dr. T. Tripplin, 3 tomy; *Kobieta z głową*, obraz z życia galicyjskiego; 2 tomy. A w każdym z tych dzieł ileż dziwów, ile różnego świata, ile charakterów i sytuacji przeróżnych! Mówiliśmy wyżej o potrzebie rozszerzenia granic powieści naszej, urozmaicenia jej nowemi widokami, w nieco mniej jednostajnych kształtach malującemi tysięczno-kształtną grę życia. P. Tripplin odpowiada

temu żądaniu, krąży piórem po wszystkich morzach i wyspach, po wszystkich stopniach cywilizacyi i stosunków społecznych — ale śmieliżbyśmy pragnąć mu wielu następców i naśladowców? Czy to powieść stara czy nowa, czy jednostajna czy różnokształtna, każda wymaga planu, prawdy, harmonii, jedności założenia, a p. Tripplin daje nam tylko książki, i to dzisiejszym zwyczajem introligatorskim — nawet niezszyte. Gdy w początkach karyery literackiej służył mu zapas realnych materiałów do przedstawienia, a skromne pióro nie rozpaśało się jeszcze w rozbujałość dzisiejszą, napisał p. Tripplin swoje zajmujące *Wspomnienia z podróży*, które mu powszechną wziętość zjednały. Dziś po wyczerpaniu rzeczywistych reminiscencyj, w braku samodzielnej twórczości imaginacyi, wysiła on wszelkie władze wielopisarstwa, ucieka się do najjaskrawszych fortelów, byle tylko zająć na chwilę. Jeśli inne sposoby chybią, ratuje się powieść obmowa, i skandalizując ludzi satyrycznemi obrazami osób żyjących i znanych, odślania umysłową nędzę autora. Największa bowiem część skandalicznych powieści tego kroju bywa tylko skutkiem powszechnego u nas braku inwencyi. Jest w nich daleko mniej umysłnej złośliwości niż przypuszczamy, daleko mniej fałszywej chęci poprawy niż sami autorowie mniemają, a całe złe wynika najczęściej ztąd, iż biedny powieściarz nie umiałby nic napisać, gdyby nie kopiował niezręcznie „z życia“, nie przedrzeźniał rzeczywistości. Od lat wielu przyzwyczaiło się oko nasze do tak jednostajnego widoku życia, że ciągła tożsamość obrazu musiała nakoniec znużyć i przytępić imaginacyą, a przy niedość żywej, niedość twórczej imaginacyi, przysygłał także talent inwencyi. Jegoto brakowi przypisać u nas nadzwyczajną rzadkość powieści, która by nieco sztuczniejszą budową potrafiła od początku do końca rozbudzić i utrzymać ciekawość. On też najczęściej zmusza biednego powieściarza rzec się zasługi samodzielnie stworzonych charakterów i zdarzeń, poprzestać na zdejmowaniu wzorków żyjących, popełniać plagiat na otaczającym go towarzystwie, na własnych znajomych i przyjaciołach. Im różnokształtniejszem bywa życie, im bogatszą imaginacyą któregośkolwiek narodu, tem większy też dar inwencyi przebija się w jego literaturze powieściowej, tem rzadszem i mniej zaszczytnem bywa rzemiosło powieści skandalicznych — upokarzające świadectwo moralnej nędzy autora. I z tegoż więc powodu należałoby pragnąć rozszerzenia

się ciasnego widokregu imaginacyi, i jeszcze ciałniejszych szranków naszej powieści, nie znającej i nie kochającej świata i ludzi poza miedzą owego swojskiego „domactwa i legar-towstwa“. O ile zaś publiczność mimo wszelkich względów i pozorów przeciwnych, spragnioną jest rzeczywistości takiego rozprzestrze-nienia świata fantazyi swojej, i gotową wy-wdzięczyć się za to pisarzom, okazuje się najlepiej w przykładzie p. Triplina, który jak mniemamy jedynie nowością przedstawionych przez siebie charakterów i scen, pozyskał niezwyčajną wziętość dzisiejszą. Nie ma dziś zresztą żadnego cokolwiek utalentowanego pi-sarza, któryby się musiał uskarżać na oziębłe przyjęcie. Można by przytoczyć różne przy-kłady sukcesów niezastużonych, a nie znamy żadnego przypadku zapoznania. W dzisiejszem usposobieniu pisarzy i czytelników byłoby to prawie chlubą dla piszącego. Każde ho-wiem zapoznaniu towarzyszy pewnemu nowe-mu pomysłowi, odmiennemu widzeniu i przed-stawieniu sztuki, nieodzownej w pisarzu nie-zawisłości i odwadze moralnej, nie troszczącej się o to, czy rzecz którą powiedzieć ma publiczności, czy sposób w który to ma u-czynić, trafia w panującą właśnie opinię. Dzi-siaj zaś jakaż dokoła lekliwość o każdą myśl, o każde wyrzeczenie, z którego by się mogło okazać, iż autor pozwolił sobie w tym albo owym przedmiocie nie zgodzić się z zdaniem publicznem! Znika wprawdzie przy tem nie-bezpieczeństwo zapoznania, ale podczas gdy utworom zapoznanym dzieje się zwyczajnie sprawiedliwość na koniec, gdy one z tego powodu tem dłużej zaprzatają uwagę ludzką, po niejednej głośniej dziś książce jakież ślad pozostanie za lat kilka? A przecież mamy w dzisiejszem powieściopisarstwie tyle pra-wdziwie znakomitych talentów, którym nale-żałoby jaknajdłuższej życzyć pamięci. Nie wahałiśmy się wypowiedzieć otwarcie co w bie-żącej literaturze wydało się nam mniej poży-tecznem i chlubnem, lecz nie wypływa z tego bynajmniej, iżbyśmy nie mieli widzieć jej rze-czywistych piękności i zalet pojedynczych. Ile np. bystrego wzroku i prawdy w ustępach ostatniej powieści J. Dzierzkowskiego *Król dsiadów*, liczonej słusznie do jego najlepszych prac. Ile takiejże samej prawdy, ile przytem poezyi i daru opisowego w powiastkach Ze-nona Fischa, znanego pod pseudonymem Pa-dalica, autora drukowanych w Dzienniku Li-terackim i Bibliotece warszawskiej opowiadań ukraińskich pod tytułem: *Nestor małowany* i *Zosia Żytkiewiczówna*. Z pióra innych

młodszych i najmłodszych pisarzy otrzymali-śmy równie cenne i obiecujące utwory. Słu-szna tu wymienić między innymi: *Uśmiech lo-su*, powieść w trzech tomach przez Włodzi-mierza Wolskiego; *Dziecię niedoli i dziecię próżności*, opowiadanie przez autora *Kłopotów starego komendanta* (A. Wilczyńskiego); *Uczony i Sierota wielkiego świata*, dwie powieści Jana Zacharjasiewicza; *Los opiekun*, przez Alexandra Niewiarowskiego; *Dwie siostry*, obrazek z powszechnego życia w dwóch tomach przez A. Nowosielskiego. — K. Wł. Wójcicki, od którego mamy obyczajową po-wieść pod napisem *Dworek i Pałac*, K. Buj-nicki, który napisał „powieść społeczną“ *Sta-ra Panna*; Jan Kanty Gregorowicz, autor zbioru *Różne różności* czyli prawdziwe hi-storye z opowiadania Janka z Bielca, napisał i wydał J. K. Gregorowicz, 2 tomy; Ad. Am. Kosiński, autor *Obrazków tegoczesnych* w trzech tomach, należą do dawnych znajo-myh publiczności. (C. d. n.)

Komunizm w Statucie Wiślickim. Wiele z najbłyskotniejszych pomysłów naszej epoki, które tak ponętny urok nowości mają dla młodych i niedo-świadczonych głów, są od wieków znane w historii. I dlategoż właśnie zdają się one dziś tak nowymi, że bardzo dawno jako rzecz niepożyteczna albo już zastarzała odrzucone przez ludzi, zgasły z czasem całkowicie w pamięci. Do takich starych nowin nale-żą np. niedawne teorye o wspólności majątków. Jestto starożytny, przez wszystkie początkowe narody praktykowany tryb życia rodzinnego, z którego one jaknajprędzej wywołić się pragnęły. Im star-szym i oświeconiejszym był który naród, tem wcześniej otrząsł się on z tych więzów pospólności, hamują-cych wszelką czynność, zdolność i zasługę indywid-ualną. U narodów zachodniej Europy ustała rodo-wa spólność i nierozdzielność od lat tysiąca, w Pol-sce zachowała się ona do wieku XIV i dalej. Do-piero Kazimierza Wielkiego Statut Wiślicki zgañił zasadę spólności, zalecił podział majątków, a uczynił to tak prostodusznie a trafnie argumentami, że każde pokolenie może się niemi zbudować. „Taka pospólność“ — są wyrazy Statutu — „jest tylko macierza rozterku a niezgody. Gdyż mając wspólnie zawiadować majątkiem, poruszają się bracia rodzeni częstokroć ku wzajemnej mierzającce i kłopotom nie-małym. Przeco gwoli uwarowaniu się zwady, a mo-że nawet uszkodzenia żywota ubogiego, najlepiej by-wa dla członków rodu, gdy żyją w własnych, oso-bnych domach, z przynależącą każdemu cząstką ma-jątku, uczyniwszy rozdział pomiędzy sobą. Ubez-pieczając tem spokój domowy, zyskiwa każdy ojciec rodziny większy pochop do pracy i powiększania ma-jątku, do naprawy gospodarstwa, do przywodenia pustych obszarów ku intracie i pożytkowi, do pod-dźwigania starych budynków, stawiania nowych, cze-mu wszystkiemu dawna pospólność stała wciąż na zawadzie. Coż bowiem pomogły pracowitemu ojcu rodziny wszelkie starania, skoro po szczęśliwie do-

konanej naprawie gospodarstwa, po przymnożeniu dochodów, mógł zgłosić się lada niedbale, zmuszony a rozpuszczony w swojej roztopności bratanek, i domagać się spółki, a w razie odmówienia, przesładować procesem! Z którego to powodu wielu ojców rodziny wściągano się od wszelkich ulepszeń imienia i od domów też budowania, zostawiając majątki w dawnym opustoszeniu.<sup>4</sup>

Ślady Słowiańszczyzny na wyspach duńskich. Pod tym tytułem wydał w zeszłym roku pewien profesor kopenhaski rozprawę historyczną, w której stara się dowieść, iż wiele z dzisiejszych osad na wyspach duńskich wzięło swój początek od dawniejszych mieszkańców słowiańskich. Mieszkańcy ci należeli jak wiadomo do bałtyckich i polabskich Słowian lechickiego plemienia. Badając ich starożytnie siedziby, nie zwrócili dziejopisowie uwagi na wyspy duńskie. Uczynił to pominięty profesor, i zastanawia się w swoim dziełku najpierw nad wyspą Laaland. Znajduje się na niej wieś *Kremenitz* *Gab*, która według obszernego wywodu autora zwała się po słowiańsku *Kremenice*. Potem zwraca autor uwagę na małą wysepkę po zachodniej stronie wyspy Laaland. Nazwa jej *Bilesc Holm* ma być tylko przekręceniem miana słowiańskiego *Belice*. Na samej wyspie Laaland znajduje się wieś *Binitz*, która widocznie nosi miano słowiańskie, i według przytoczonych przez autora dyplomatów powinna być *Benice* albo *Bynice*. Na zachód od Bynic leży wieś *Tilitz* to jest *Tyllice*, a niedaleko ztamtąd wieś *Kudiltz* po słowiańsku *Kutice*. W dowód słowiańskiego pochodzenia wszystkich nazw wymienionych, przytacza autor mnóstwo równomiennych miejscowości w dawniejszych i dzisiejszych krajach słowiańskich. Potem przechodzi autor do wyspy Falster, a dowiodszy naprzód, że pomiędzy jej dawnymi mieszkańcami znajdowali się liczni Słowianie, przytacza nadto dzisiejsze miano wsi *Kozelitz*, powstałe widocznie z nazwy słowiańskiej *Kozelice*. Nakoniec mniema, że znajdująca się na wyspie Langeland wieś *Putselikke* zwała się niegdyś *Budzelice*, od słowiańskiego wyrazu *buda*. Oto główna ośnova rozprawy kopenhaskiej, która wcale nowa ścieżka wskazała badaniom starożytnym.

Biografia niektórych wyrazów. Nadzwyczajnie ciekawa była niekiedy metamorfoza, jaką ten albo ów wyraz przechodzi z czasem pod względem swego znaczenia. Zdarza się to osobliwie wraz z cudzych języków przyswojonym. Za przykład może posłużyć biografia wyrazu *gmach*. Jestto właściwie wyraz niemiecki, skrócony z pierwotnego *gemach*, a oznaczający zaciszę. „*Wir liben gemach und frieden*, t. j. kochamy cichość i spokój“ — spotyka się bardzo często w starych pismach niemieckich. Od pojęcia zaciszy aż do wyrażenia się: „to wielki gmach!“ jakże daleki odskok, a przecież jak naturalne przejście! Gdy pod koniec średnich wieków zaczęto w Europie myśleć o większych wygodach życia, okazała się przedwzrostkiem potrzeba wygodniejszego urządzenia pomieszczeń. Nastąpił mianowicie zwyczaj budowania małych ustronnych komnat, w którychby gospodarz zdala od gwaru domowników i gości mógł niekiedy użyć wypoczynku i czasu, czemu dawna struktura domów, złożonych zwyczajnie z jednostajnie wielkich izb czyli świetlic, nie zupełnie odpowiadała. Nazwano taką komnatkę po polsku *pokojem*, po niemiecku *gemach*, po łacinie *commodum*, to jest we wszystkich trzech językach

miejszem *spokojnem, cichem, wygodnem*. Jeszcze w „*Zywocie uczciwego człowieka*“ przez Mikołaja Reja z Nagłowic, odzywa się naiwne echo radości, z jaką pokolenia pierwszej połowy XVI wieku lubowały w niedawnym wymyśle „*pokoików i pokoiczeków*.“ Poświęcano też szczególniejszą uwagę tym zakątkom, nadając im daleko więcej ozdób i wygod niż miały dawne pospolite świetlice. Z latami jednakże zeszła się nowy zwyczaj i ostygła sprawiana nim uciecha. Małe i ciche pokoiki stały się wielkimi głośniami pokojami, w których zaczęli przebywać domownicy i goście a przestał panować spokój. Została wprowadzić nazwa dawniejsza, zarówno w języku polskim jak i niemieckim, lecz bez właściwego już znaczenia, a przeto zaledwie dziś rozumiała. Tymczasem obudzony raz popochod do większej ozdobności i wygodności trwał nieprzerwanie dalej, zwłaszcza w mieszkaniach pańskich. Urządzano tam i nazywano pokoje zwyczajnie na sposób zagraniczny, o wiele wykwintniejszy od krajowego. Wytwornie przyzodobiony *gmach* w pałacu magnata stał się czemś wcale różnym od *pokoju* w dworcu szlacheckim. Po jakim czasie już tylko zamkom królewskim przyznano *gmachy* i mówiono z Bielskim w Kronice Polskiej: „Skoro Jarocki wszedł na zamek w Budzynie, zaraz mu *gmach* ukazali...“ Takim zaś sposobem wyszedł nasz wyraz z codziennego użycia, i coraz rzadziej goszcząc w uszach powszednich, przybrał w ogólności znaczenie wielkiego, okazałego przybytku. Nakoniec w ślad zapomnianego już pojęcia zaciszy, zatlarło się także znaczenie mieszkalności, a *gmach* zaczął oznaczać wszelką ogromną budowę, jakiegokolwiek przeznaczenia i kształtu. Owszem u Wacława Połockiego rozrósł on się w świat cały, i czytamy: „Ileż smutku w tym świata szerokiego *gmachu!*“ — Co za świetna karyera w życiu tak skromnego u kolebki swojej wyrazu!

Smoki u podnóża grodów stołecznych. Aż do czasów chrześcijaństwa nie znano prawie murów w północnej Europie. Dopiero około XIII wieku upowszechniła się cegła. Toż wiadomo że jeszcze Kazimierz W. zastał Polskę „*drewniana, błotna, gliniana*.“ Przed Kazimierzem, za czasów Karola W., uchodził każdy gród mурowany za nadzwyczajną nowość, i służył szeroko po okolicy. Z początku bywał on w środku, w swoich zabudowaniach mieszkalnych, najczęściej z drzewa, a całe dzieło kamienne ograniczało się na jeden albo dwa opasujące go mury. Dla swojej okrągłości, podobnej do kształtu wijącego się węża, nazywały się te mury węzami albo smokami. Zład zamiast powiedzieć, iż ten albo ów zamek opasany jest murem, mawiano, iż go smok strzeże, alboważ w ogólności, iż na pewnej górze jest smok. Ponieważ osobliwie kobiety, mianowicie królowe i królowny, uciekały się pod opiekę zamków obronnych, przeto urosły owe tysiące tradycyi i powiastek o królownach pod strażą smoków. Kto naręście opanował taki gród mурowany, o tem rozchodziła się sława, iż zabił smoka. Miałażby podobna wersja tradycyi stosować się także do zabicia smoka u podnóża zamku w Krakowie? Wyczytujemy ją w *Dahlina Historji Szwedzkiej* tom I rozdz. 6 i 8.

Sześć rzeczy przeciwnych przyrodzeniu. Młodzian bez wesołości, lichwiarz bez pieniędzy — Targ bez złodziejów, gdzie się co żywo najprędzej — Ciągna; spichlerz bez myszy; cap bez brody stary — Ospaly, aby miał bydź mądry z jakiej miary. (Stara przypowieść.)